

Biała lokomotywa

Krzysztof Rarocki

Z szarego nieba prószy śnieg. W jasnym świetle latarni elektrycznych wygląda to przepięknie, przywodząc mi na myśl bez troskę dziecięcych lat. Wystawiam rękę z kabiny i łapię kilka drobnych płatków. Czuję przyjemne zimno i zamykam dłoń.

– Tender pełny, maszynistko, wody wystarczy na dwie godziny biegu! – Z chwilowej zadumy wyrывa mnie krzyk Piotra, rewidenta kolejowego.

– Najwyższy czas – odpowiadam z wyuczonym spokojem, dyskretnie zerkając w lusterko.

Jeszcze nie przybyli.

– Sprawdźcie koła i resory.

– Znowu? – Krzywi się. – Przecież już sprawdzaliśmy.

Ludzie muszą mieć w życiu cel.

– Wykonać!

– Rozkaz, maszynistko! – odkrzykuje, znikając z pola widzenia.

Otwieram dłoń i patrzę na szare, brudne krople kapiące z niej na podłogę. Kiedyś ponoć śnieg był biały, a dziś... Kaszlę i odruchowo przenoszę wzrok na przyrządy. Temperatura paleniska w normie, ciśnienie pary też. Zastęp palaczy w dolnej kabinie nie próżnuje, wszystko jest gotowe. Tender i węglarka pełne, tory odśnieżone, tylko pasażerów brak.

Wychylam się przez okno, niby tylko po to, aby skontrolować pracę Piotra i jemu podobnych. Tak naprawdę spoglądam na nią, na białą lokomotywę. Na moją lokomotywę. Jest dumą kolei międzykontynentalnej, zwanej potocznie dwunastostopową od rozstawu torów, istnym cudem techniki i motorem mojego życia. Dwa tysiące ton szwedzkiej stali osadzone na pięćdziesięciu sześciu kołach. Setki razy prowadziłam ją trasą z Warszawy do Pekinu i tylko raz nie dojechałam w wyznaczonym czasie trzydziestu dziewięciu godzin.

– Prawa strona sprawdzona! – krzyczy ktoś z dołu.

Nie zwracam na to uwagi, bo od strony miasta nadciąga już czarna chmura. Wreszcie przybyli. Nawet stojąc w lokomotywie, czuję, jak ziemia drży, kiedy wysokie jak dom maszyny wojenne pokraccznie wmaszerowują na peron.

Stalowe pająki, o korpusach wielkich jak czołgi parowe.

– Zbiórka! – krzyczę do obsługi.

Ludzie natychmiast ustawiają się w dwóch szeregach. Na ich zmęczonych twarzach pojawiają się szerokie uśmiechy. Wszyscy pragną pokazać, jak bardzo kochają tu carewicza.

Batalionowi mechów towarzyszą żołnierze ubrani w czerwono-czarne mundury. Po mojej radosnej z pozoru twarzy przemyka grymas trwogi. Już kiedyś ich spotkałam i do dziś pamiętam, do czego są zdolni karmazynowi strażnicy. Jeden z oficerów zmierza wprost do lokomotywy.

– Mamy godzinne opóźnienie, maszynistko! A trzeba nam jeszcze załadować pancerniaków. Będziesz musiała nadrobić to, gnając przez stopy. Telegramy zostały już rozesłane, masz najwyższy priorytet.

– Trzydzieści dziewięć godzin – odpowiadam spokojnie. – Tyle czasu potrzebujemy, by dotrzeć do Pekinu.

– Milcz! Opóźnienie wywoła skandal, a wtedy poniesiesz konsekwencje.

Odwraca się, by popatrzeć na stojących w dwuszeregu robotników. Dopiero teraz wyraźnie dostrzegam pagony. To jakiś porucznik, nikt znaczący.

– Wszyscy poniesiecie!

Widzę strach w ich oczach, ale uśmiechają się niewzruszeni. Praca na kolei to brama do lepszego świata.

– Proszę o zgodę na przeforsowanie maszyny – mówię, cedząc słowa.

Ze spokojem spoglądam w jego brzydkie, rybnie oczy. To zazwyczaj wystarcza. Po tragicznej śmierci poprzedniego cara nikt już nie pozwala przeciążać maszyn. Oficer rzuca mi nienawistne spojrzenie, jego twarz staje się purpurowa. Spluwa jeszcze na odchodne, ale nic nie mówi. Pewnie to on odpowiada za spóźnienie i poniesie konsekwencje, jeżeli nie dojedziemy na czas.

– Przygotować skład do biegu! – wołam, kiedy odchodzi.

Pociąg jest gotowy, ale znam swoich ludzi i wiem, że wolą jakąkolwiek pracę od tej gry pozorów. Ponownie spoglądam na zegary: wskazówki drgają delikatnie, kiedy stalowe odnoża mechów wspinają się na platformy transportowe. Od zakończenia wielkiej wojny, w wyniku której niebo stało się szare, rodzina panująca straciła na popularności i rzadko kiedy opuszcza rezydencję bez żelaznych strażników. Ekoterrorysty czają się wszędzie – dzieci Gai, jak sami siebie nazywają ci, wspierani przez kapitalistów zza oceanu, wichrzyciele.

Dostrzegam limuzynę carewicza. Syn miłościwie panującego wysiada chwiejnym krokiem i wskazuje ręką na pociąg, spoglądając na kobietę, która mu towarzyszy. Krzyczy coś, choć nie słyszę słów. Nigdy nie widziałam go z bliska. Podobno jest technokratą, planuje połączyć Europę z Afryką, osuszając Morze Śródziemne. Ma to sprawić, że niebo znów stanie się niebieskie, ale teraz mało kto już wierzy w takie obietnice.

- Skład gotowy, maszynistko! – Dobiega mnie wołanie z peronu.
 - Dobrze! Pierwszy gwizdek – mówię do siebie i przestawiam dźwignię.
- Ryk rozprężającej się pary zagłusza na chwilę pozostałe dźwięki.

Carewicz wsiada, a w zasadzie zostaje wprowadzony do wagonu klasy królewskiej. Sypialnia, salon, jadalnia i łaźnia. Wszystko, by czuł się jak w domu. Od lokomotywy oddziela go bastion przeciwlotniczy i platforma dla lekkich machin bojowych. Za nim skład zamykają dwa wagony stalowych pajaków.

Słyszę gwizdki z peronu. Drzwi zamknięte, mechy załadowane – możemy ruszać.

- Powodzenia! – Pośepny głos Piotra przebija się przez huk ruszającej maszyny.
 - Wam również, do zobaczenia! – odkrzykuję, powstrzymując atak kaszlu.
- Czuję nieprzyjemny ucisk w żołądku, nigdy nie lubiłam kłamać.

Biała królowa torów powoli wytacza się ze stacji. Procedurę rozpędzania znam na pamięć: trzy lata szkółki, potem praktyka i wreszcie pierwsza samodzielna jazda. Parowóz wysokociśnieniowy to nie przelewki. Co chwilę patrzę na wskaźniki, teraz wszystkie powinny być w granicach pomarańczowego pola, gdyż obciążenie maszyny jest największe. Palacze na dole klną, kiedy brygadzysta zagrzewa ich do szybszej pracy. Płacą im dobrze, ale czterdzieści godzin nieprzerwanej roboty to dla nich katorga.

– Dziś wreszcie odpoczniecie – szepczę sama do siebie. Łzy napływają mi do oczu.

Według zegara pokładowego prędkość marszową osiągamy po osiemnastu minutach. Śnieg prószy coraz mocniej, ale tor jest czysty. Przed nami jadą inne składy przygotowujące nam drogę. Rzadko spoglądam za okno, bo przez pierwsze kilka godzin krajobraz niewiele się zmienia. Niebo jest szare i pośepne, a gdzie nie spojrzeć w górę strzelają kominy. Fabryki, huty i stalownie, kuźnie i odlewnie. Powiadają, że jeżeli utrzymamy obecną produkcję stali przez dwadzieścia lat, to nigdy nie będzie już wojen. Zasłaniam usta dłonią, kiedy kaszlę, a następnie obserwuję krwawy ślad na żaroodpornej rękawicy. Coś mi mówi, że za dwadzieścia lat nie będzie już o co walczyć.

I właśnie dlatego się zdecydowałam. Tu nie chodzi o mnie. Ja w zasadzie już nie żyję – doktor Wizenthal powiedział, że zostało mi zaledwie kilka miesięcy. Pylica już zrobiła swoje. Nie chodzi też o moje dzieci, które narodziły się zbyt wcześnie, by przeżyć. Ani o rodziców, którzy zostali zabici, kiedy karmazynowi strażnicy przejeżdżali przez naszą wieś. Chodzi o świat, który zniszczyliśmy. W imię carów, imperatorów i papieży. By garstka mogła realizować swoje wybujałe ambicje kosztem cierpienia mas.

Docieramy do grobli. Szybko przestawiam zawory i lokomotywa zaczyna zwalniać.

- Matko, wybacz mi – mówię zapłakana, a następnie wyjmuję z wewnętrznej

kieszeni płaszcza niewielkie, zielone zawiniątko i wsuwam je przez wrzutnię awaryjną wprost do paleniska.

Dokonało się, teraz muszę się spieszyć. Jedną po drugiej, zaciągam dźwignie hamulcowe. Skład zaczyna zwalniać. Tupię w podłogę, dając do zrozumienia palaczom na dole, że rozpocząłam hamowanie awaryjne. Natychmiast przestają dorzucać węgiel, zgodnie z procedurą. Upewniam się jeszcze, że prędkość jest właściwa, po czym zakładam ukrytą w płaszczu maskę gazową. Nie ochroni mnie, ale da kilka cennych minut.

Najpierw zmienia się dźwięk wydawany przez piec: trzaski przechodzą w istny huk. Wskazówki termometrów pną się w stronę czerwonych pól. Otwieram kolejne zawory, obserwując dym wydostający się z komina. Nie jest już tak czarny, zaczyna się zmieniać. Nawet w szarym świetle niby-dnia widzę tłuste, ciemnozielone opary, które wznoszą się niechętnie, by po chwili opaść na toczący się coraz wolniej skład. Z każdą chwilą jest ich więcej – zieleń wdziera się do kabiny, arseniczne macki płyną w powietrzu jak węże szukające ofiar.

Nie ma czasu na podziwianie tego upiornego spektaklu. Jeszcze nie. Muszę utrzymać prędkość składu i temperaturę w palenisku, inaczej „gniew Gai” nie dotrze do królewskiego wagonu i nie przepali filtrów masek.

Gdzieś z tyłu słyszę krzyki. Załogi lekkich mechów już wiedzą, że coś się dzieje. Padam na podłogę chwilę przed tym, jak serie z ciężkich karabinów omiatają kabinę. Zapewne odkryli już, że sworznie zostały zaspawane i wagonów nie można szybko rozłączyć. Piotr dobrze się spisał.

Prędkość i temperatura, jedynie to się teraz liczy. Wytrzymaj dziewczyno, to już ostatni raz. Kilka chwil, a potem już nie będzie bolało. Dym staje się jaśniejszy, lekko przezroczysty, niemal fosforyzuje jak szkło uranowe. Czuję mrowienie na skórze. Dobrze, trucizna działa. Zgiełk na platformie stopniowo milknie. Wstaję ostrożnie, czując lekkie zawroty głowy. Śmierć wdziera się już do mojego organizmu. Podnoszę wzrok, by po raz ostatni spojrzeć na zegary. Prędkość i temperatura takie, jak kazali. Odwracam się. Pancerne wagony toną w arsenicznej zieleni, maszyny wojny trwają w upiornym bezruchu, nikt już nie krzyczy. Słyszać jedynie sapanie lokomotywy i stukot kół. Dokonało się.

– Matko, wybacz nam – szepczę zapłakana, kiedy przed oczami przelatują mi twarze wszystkich, którzy umrą tu dziś ze mną.

Zdejmuję rękawicę i wystawiam rękę z kabiny, by złapać kilka drobnych płatków. Czuję przyjemne zimno, zamykam dłoń, a następnie zrywam maskę.

Błyskawicznie odpływam w ciemność i nie ma mnie już, ale wierzę, że moja ofiara nie pójdzie na marne. Wierzę, że ktoś zobaczy jeszcze prawdziwy, biały śnieg.